

LUDWIK PACZYŃSKI

ur. 1935; Wilno



Miejsce i czas wydarzeń	Toruń, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Toruń, Żdżanne,, II wojna światowa, majątek Toruń, dzieciństwo, Niemcy, Rosjanie, bandyci, partyzanci, napady, państwo Smorczewscy, ojciec

Niemcy, Rosjanie, bandyci i partyzanci w majątku Toruń

Czerwiec [19]41 rok. Na podwórku samochody, czołgi, motocykle – kupa Niemców. Plączą się dzieci, ja też między nimi. Niemcy pozwalają wchodzić na motocykle. Dwa albo trzy dni byli, zniknęli. 21 rozpoczęło się uderzenie na [ZSRR], do Bugu było 40 kilometrów w prostej linii. Zniknęli. Za jakiś czas utworzono obóz w Chełmie, wielotysięczny obóz dla żołnierzy, jeńców rosyjskich, a więc całe bractwo Białorusini, Rosjanie, Kazachowie. Teraz tam pomnik jest. I któreś nocy – to znam z opowieści, dzieci nie było dopuszczone [do tego] – skrobanie do drzwi, ale takie, że wiadomo, że to nie bandyci ani Niemcy. Co się okazuje? Otwierają, wczołguje się ludzki łachman, jeniec, który przeszedł tych kilkanaście kilometrów, bo ktoś mówił mu, że tu jest wracz, lekarz. Tyfus. „Ratuj, doktorze”. Jak jeździłem z moją żoną Hala ileś lat temu na Toruń, ruiny tego Torunia są, to jeszcze pokazałem: „O, widzisz, Hala, to jest taty gabinet”. Wchodziło się, a [obok była] taka komóreczka wielkości dwa metry na dwa metry. Drzwi do tej pory są. Przez dwa albo trzy tygodnie, nie pamiętam już, ten jeniec był leczony przez tatę mojego. A Niemcy co jakiś czas przyjeżdżali do Torunia i gdzie? Do doktora. A nuż będzie spiryt, prawda, sznaps. Udało się, siedział jak trusia. Co mój tata musiał przeżywać, wiedząc, że półtora metra od Niemca siedzącego przy ścianie [ukrywa się Rosjanin]. Poszedł do lasu i przez umyślnego przysłał tacie list z podziękowaniem, że jest w lesie, że dziękuje doktorowi. Oczywiście, trzeba było list ten zniszczyć, bo za przechowanie Żyda i za przechowanie Rosjanina wiadomo, co byłoby – już nie tylko tata, ale dzieci byłyby gdzieś tam rozpirzone.

A druga wizyta, którą pamiętam, była rok od momentu, kiedy uderzyli Niemcy na [ZSRR]. Dużo się plątało albo takich, którzy zdążyli ukryć się, albo uciekinierów, albo na przykład jeżeli Niemcy uderzali dwoma klinami, to w kotle zostawiali żołnierze czy oficerowie. Niekiedy się przechowali, uciekali na tę stronę Bugu i tam jakoś starali się u chłopca czy gdzieś żyć. Albo tworzyli oddziały – partyzanckie albo zwyczajne bandyckie. Z Torunia do lasu było jakieś półtora kilometra. Przyszedł w pełnym

mundurze oficer radziecki, prosząc o konia pod siodło. Wziął konia na kilka godzin, z babcią Helą porozmawiał po rosyjsku, babka perfekta, pogadali sobie. Po kilku godzinach konia oddał, a tak ufał, że podziękował i poszedł do tego lasu, te półtora kilometra nie odwracając się. Myśmy stali specjalnie. Mama mówi: „Widzisz? Popatrz, nie boi się, nie odwraca”. To był taki Rosjanin.

Jeśli chodzi o Niemców, to kiedyś, pamiętam, Niemcy wpadli wieczorem, tatę zabrali. Myśmy myśleli, że już będzie bieda, a okazało się, że była potyczka i ranili oficera. Wieźli go furmanką, bali się, że umrze, wobec czego druga furmanka przyleciała po ojca, w połowie drogi spotkali się. Tato oczywiście miał taką walizeczkę, ja ją potem po wojnie jeszcze miałem wiele lat, mało tego, szminki w niej nosiłem, jak byliśmy na wyjazdach nieraz. Wspaniała taty lekarska [torba]. I tam na tej furze – to też znam z opowieści – Niemiec zaczął tatę po rękach całować, tata znał niemiecki – żona, dzieci, dzieci, dzieci. Uratował go tata. Niemiec potem [nas] odwiedził, Austriak, jak się okazało. Austriacy byli w miarę przyzwoici, zachowywali się troszkę inaczej w porównaniu z Niemcami.

Dwa napady były, gdzie tatę postawili pod ścianą. Wpadli Niemcy, chcieli tatę rozstrzelać. Nie wiem dlaczego. Na szczęście, to była żandarmeria. Na szczęście, kiedy tata stał pod ścianą, to też ja wiem tylko [z opowieści], przecież nie patrzyliśmy na to, wpadł oficer i zrugął dokładnie tych [żandarmów]. Lekarze byli potrzebni, lekarzy się nie rozstrzeliwało, bo nie było sensu. To były takie dwa wypadki, jeśli chodzi o Niemców.

Myśmy na Toruniu będąc, przez ten czas przeszli napadów osiem. Trzy lub cztery napady to były napady maruderów rosyjskich. Byli to jeńcy, którzy jakoś utrzymali broń. I cała ich walka z okupantem polegała na tym, że rabowali po wsiach, rabowali po majątkach. No, potem dopiero dowiedziałem się, że dziewczęta, kobiety nie znają dnia ani godziny, bo gwałcili. Zwyczajnie, normalnie. Pierwszy napad to byli Polacy z sąsiednich wsi. Zawsze [napadali] wtedy, kiedy taty [nie było]. Tata jeździł do lasu, przyjeżdżali po tatę. Chodziło o opatrzenie, odwszenie, no, po prostu, żadne AK, nie, tata po prostu był lekarzem dla tego oddziału. Ale równie dobrze, gdyby prosili Rosjanie, też by pojechał, prawda, to jest normalna sprawa, przysięga Hipokratesa. Człowiek, trzeba człowieka leczyć. Więc oni wpadali, nasi Polacy, wtedy, kiedy taty nie było. Zawsze wiedzieli, musiał ktoś donosić, a niedaleko były wsie. I pierwszy raz – mama kąpie nas, z Grażką siedzimy w balii. Raptem drzwi się otwierają i wchodzi jakiś facet. Niezamaskowany. Zaczyna szukać. Mama: „Co pan tu robi?”. Nie wiem, co odpowiedział, w każdym razie zaczął szperać. Szukali złota, u doktora musi być, doktor to musi mieć złoto, prawda. A w tym pokoju, gdzie mama nas kąpała, pod parapetem była taka dziura, gdzie woda ściekała, w murze było takie [zagłębienie] i tam przykryte papierem leżały taty zegarek, piękny, gruby, do tej pory jest u mnie, złoty zegarek, dwie koperty, tata dostał go od swojego ojca chrzestnego, i mamy obrączka. Taty obrączki oczywiście nie było, bo jak go aresztowali Rosjanie, to natychmiast, tak jak i samochód, zabrali. Szukał, szukał, nie znalazł niczego. Wtedy

zginęły nam taty ubrania, mamy ubrania, babci Heli ubrania, dziecięce. Oni się czuli się znakomicie, to była banda.

Potem były inne napady. Jeden z napadów był taki zabawny, u nas były okiennice zamykane od zewnątrz, drewniane, babcinka Hela zobaczyła, że przez serduszko w tej okiennicy włazi łapa. A babcinka za haczyk i mówi potem: „A ja jemu haczykiem, haczykiem”. I cofnął rękę. Oczywiście, weszli drzwiami. To jeszcze nasi, to była mała bieda, jak to powiadają u nas na kresach. Natomiast maruderzy, Rosjanie to było coś o wiele gorszego. Była u nas sarenka. Sarenkę gdzieś kosą zacięto, leżała sobie biedulka, więc wzięliśmy do domu, opatrzyliśmy, dopóki sarenka nie wydobrzeje, [będzie] u nas, leczyła się. Jak weszli pijani Rosjanie, to po pierwsze – zobaczyli lustro wielkie, tremo, zobaczyli postać, od razu rozwalił lustro, bo sądził, że to ktoś inny. Sarenkę zabili. Zniszczyli wszystko, co było można. Lampy potłukli. Bydło. A myśmy mieli schowek. Jeżeli wiadomo było, że [to Rosjanie], słyhać [było] po rosyjsku: „Otwierać”, to babcia taka najstarsza oraz Teci, również leciwa pani, którym nic już nie mogło grozić, odsuwały stół, dywan, podnosiły klapę, a tam na dole ze dwa metry albo trzy [w dół] były kozuchy. Skakało się. Dzieci, mama i Wikta, szesnastoletnia dziewczuszka, która była niańką mojej Grażki. No, bo najgorzej byłoby z Wiktą, prawda. Udawało się. Mieliśmy dość tych napadów. Myśmy siedzieli jak trusie, żeby oni nie wiedzieli, bo się zastawiało znowu stołem. A oni tam się rozbijali, krzyczeli po jakimś tam. Zabrali, co było można. Oni nie brali ciuchów, bo im nie były potrzebne. Brali tylko ewentualnie spirytus albo jedzenie.

[Nachodzili nas] polscy bandyci, Rosjanie i autentyczni partyzanci, którzy nie rabowali. To było AK. To byli tułacze, [przychodzili] przeprać bieliznę, zjeść coś, bandaże [zmienić], służąca prała im, bo oni nie mieli domów. Tułali się. To byli ludzie spaleni, wspaniali ludzie. Owszem i wypili, pogadali i pośpiewali nawet, bo przecież trudno ciągle się smucić. To byli prawdziwi [partyzanci].

Mieliśmy dosyć już tych napadów, tośmy uciekli trzy kilometry do Żdźannego do państwa Smorczewskich na przechowanie na tydzień. Pałac państwa Smorczewskich był spalony w roku [19]14, przenieśli się do spichrza, a ludność miejscowa mówiła w dalszym ciągu „pałac”. Żdźanne to jest dość duża wieś od Krasnegostawu kilkanaście kilometrów na wschód. No i tam miało być bardzo przyjemnie. Raptem w nocy strzelanina. Co się okazuje? Był napad na leśniczego nazwiskiem Grabani, włoskie jakieś nazwisko, ale Polak szczery. Do tej pory tam stoi jego chałupienka mała, mieszkał koło tego tak zwanego pałacu. Rosjanie, maruderzy ubzdurali sobie, że gajowi i leśnicy znający lasy mogą donosić Niemcom o ruchach partyzantów. Wobec czego byli likwidowani. Czyli napad. Grabani był na tyle mądry, że uciekł. Już się potem nie pokazał. Jedyne po tej strzelaninie to było to, że trafili konia. Myśmy potem rano wyszli i stał biedny koń, łeb spuszczonej, jedna z dziewczuszek kwiatki mu dawała, żeby jadł. W kolano [trafiony]. Trzeba było długo czekać, aż przyjdzie policjant granatowy i zastrzeli tego biedaka.

Jako ciekawostkę powiem, że panna hrabianka Smorczevska, wówczas

szesnastoletnia, miała solitera. To popularna była niegdyś choroba. Chudziutkie to takie było. I tato oczywiście wyleczył ją z solitera. Prosta sprawa. Potem ten soliter w jakiejś takiej butelce i w spirytusie był w taty gabinecie, ja przychodziłem i przyglądałem się. Długi to soliter był, który resztą wyszedł, no, wiadomo, którą częścią panny hrabianki. I tata otrzymał, poza normalnym chyba honorarium, butelkę ciemną miodu pitnego, gdzie była napisana data: 1928. I powiedział tak: „No, to będzie na ślub Grażki”, mojej siostry, która wtedy miała ze dwa lata. Istotnie. Mieliśmy tylko tę butelkę, trochę ciuchów i zdjęcia, zdjęcia do tej pory mam, pilnowaliśmy zdjęć. Ta butelka z nami jeździła, jeździła, jeździła. Był rok [19]61, kiedy moja siostra brała ślub. Otworzyliśmy butelkę, miód, który miał tyle [lat].

Data i miejsce nagrania	2013-03-19, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"